



OPOWIADANIA





ROBERT KONCA

MIASTO

Schwytano mnie na rogatkach. Teraz jestem w Mieście. Leżę przywiązany pasami do łóżka w Ośrodku Uzdatniania Mózgów i przekazuję tę opowieść telepatycznie komuś z Centrum. Prosiłem o kartkę i długopis, ale mi odmówiono. Nie chciano mi również rozwiązać rąk. Nie poddałem się. Dzięki ogromnemu wysiłkowi i wielu godzinom spazmatycznego skupienia, zdołałem odnaleźć ten jeden umysł, gotowy odbierać i być może zapisywać moje myśli. Wiem o nim tylko to, że mieszka w Centrum, ale intuicja podpowiada mi, że mogę mu zaufać. Nie mam zresztą innego wyjścia, a czasu zostało niewiele.

Nikt nie zna dokładnie historii Miasta; jest zbyt długa. Niektórzy twierdzą, że istnieje od chwili, gdy ruszył kołowrót zdarzeń, inni, że powstało z drugiego oddechu Tego, Którego Imienia Się Nie Wymawia. Zalewane przez potopy, zasypywane przez pustynię, jednak trwa, wciąż rozbudo-

wywane; rośnie jak złośliwy nowotwór. Kiedy byłem dzieckiem, Miasto podobało mi się nawet. Z radością bawiłem się w piasku usypując fantastyczne budowle, jakbym chciał Miastu powiedzieć: patrz, pragnę, żebyś było jeszcze potężniejsze, gdy dorosnę, zostanę architektem. Ale nie zostałem architektem. Zanim zdołałem zostać kimkolwiek, Miasto przestało mi się podobać. Wcześniej wierzyłem, że jest opoką, schronieniem przed tym, co nieznanne a więc pewnie złe. W szkole uczono nas, że poza Miastem rozciąga się kraina złośliwych demonów, zawsze pogrążona w mroku, w którym rozbrzmiewają głosy doprowadzające człowieka do obłędu i śmierci w okrutnych mękach. Opowiadano o tych śmiałkach, którzy w czasie pierwszego powstania postanowili opuścić Miasto. Znalaziono ich potem na Przedmieściach. Podobno w głowie mieli duże otwory w kształcie rombu, przez które wyjęto im



Tomasz Młynarczyk

mózgi. Mój nauczyciel twierdził, że zrobili to sobie sami pod wpływem na-głego strachu i szaleństwa. Nie miałem wtedy powodu, aby mu nie wierzyć. Moje dobre samopoczucie skończyło się, gdy miałem 14 lat. W tym czasie intere-sowałem się już literaturą. Czytałem dużo. Każda książka była inspiracją do sięgnięcia po następną; tematy, motywy i mity rozbiegały się w zastraszającym tempie we wszystkich kierunkach. Było więc nieuniknione, że wreszcie przyjdzie czas na książki, które krytykują pewne idee Miasta, stawiają wiele znaków zapy-tania tam, gdzie Miasto nie ma żadnych wątpliwości albo wręcz – oczywiście przez pryzmat zawiłych aluzji i metafor – nazywają Miasto obozem koncentra-cyjnym i wzywają do ucieczki. Niestety nie udało mi się przeczytać tych naj-bardziej heretyckich dzieł. Nie można ich było nigdzie kupić. Od dawna żadne wydawnictwo nie ośmieliło się ich wy-dać, choć przecież oficjalnie Miasto jest ostoją demokracji i liberalizmu. Książki te są co prawda w posiadaniu biblioteki, figurują w katalogach, ale gdy wielo-krotnie chciałem wypożyczyć którąś z nich, miła i uśmiechnięta bibliotekarka mówiła mi: niestety, ktoś wypożyczył, przyjdź w przyszłym tygodniu.

W tym właśnie czasie odbyłem pierwszą wyprawę na Przedmieścia. Było ciepłe popołudnie. Szedłem długo zanim wydo-stałem się z Centrum. Wszedłem na most nad starą linią kolejową, która kiedyś prowadziła coś dokądś. Po zejściu z mostu poczułem, że jestem na Przedmieściach. Nigdy wcześniej tam nie byłem, więc nie wiem skąd przyszło mi do głowy, że to już Przedmieścia. Centrum jest bardzo rozległe, zaś jego przechodzenie w Przedmieścia jest, można by rzec, delikatne, eteryczne. Trzeba być wytrawnym obserwatorem zjawisk zachodzących na zewnątrz i w samym sobie, aby zorientować się, gdzie kończy się Centrum a zaczynają Przedmie-scia. Wtedy jednak poczułem intuicyjną pewność, że wreszcie tam dotarłem. W tra-kanie następnych wędrówek zauważyłem, że za każdym razem Centrum kończy się nieco wcześniej. Wibracje Przedmieść były odczuwalne przeze mnie w miejscach, które kiedyś uważałem za Centrum, choć



Tomaz Młynarczyk

różnice nie przekraczały kilku metrów. Po kilku tygodniach cały most nad torami należał już do Przedmieść.

Podczas pierwszej wyprawy zauważyłem, że Przedmieścia dziwnie na mnie wpływają. Idąc pośród tych starych majestatycznych domostw, czułem jakieś tchnienie niewidzialnej otchłani, jakiś powiew tajemnicy, który swym chłodem zdawał się docierać do nieznanых zakątków mojej jaźni. Zrozumiałem, że choć Przedmieścia należą do Miasta, to jednak nieoficjalnie stanowią inny świat, żyjący swoim dyskretnym życiem. Niektóre domy wydawały się opuszczone, ale już wtedy domyślałem się, że to tylko taki kamuflaż, żeby zmylić urzędników i szpiegów Miasta. Minałem kilka wychudzonych postaci, pogrążonych w tak głębokiej zadumie i skupieniu uwagi, że nikt nie zwrócił na mnie najmniejszej uwagi. Bardzo mi się to spodobało. Im bardziej oddalałem się od Miasta, tym dalej pragnąłem odejść. Jednocześnie jednak pojawił się strach przed jego opuszczeniem, a

potem tęsknota za tym, co tam zostało, za domem, przyjaciółmi, przyzwyczajeniami. Aż wreszcie ogarnęło mnie znużenie, tak, że w końcu musiałem zawrócić i powłócząc nogami udałem się w stronę Centrum.

Gdy raz przekroczy się jakąś granicę, chce się robić to ciągle. Przez następne lata prawie każde popołudnia spędzałem na Przedmieściach. Pod byle pozorem wymykałem się wcześniej z pracy i siedłem za każdym razem dalej. Strefa przedmieść objęła cały most i część ulicy, ale nagle przestała się rozszerzać, jakby napotkała niewidzialny opór. Moje życie coraz bardziej związane było z Przedmieściami. Poznawałem ich mieszkańców, obyczaje, obrzędy. Z niektórymi ludźmi zaczęło mnie nawet łączyć coś na kształt przyjaźni. Mimo to zdawałem sobie sprawę, że nigdy nie uznają mnie za swego. Chociaż przestawałem być człowiekiem Miasta, to nie stawałem się człowiekiem Przedmieść. Siedząc w cichej knajpce z żalem przyjmowałem ich nieumiejętnie skrywaną niechęć i nieufność, jakiś strach czający się w meandrach luźnej rozmowy. A jednak te dyskusje, wymiany myśli, były dla mnie nieocenionym darem. Dzięki tym wyprawom stawałem się spokojniejszy, bardziej uważny, skupiony. I powoli oswajałem się z myślą, że Przedmieście to tylko przystanek na długiej drodze.

Miasto nie było już schronieniem. Pewnego dnia wracając do Centrum stwierdziłem, że jestem obserwowany. Nie, żadnego nachalnego śledzenia, żadnych ponuraków w płaszczach z postawionymi kołnierzami, tylko fachowa, subtelna obserwacja, umykające błyski świateł w ciemności korytarza, szepty niewidzialnych ust, czarne nieoznakowane helikoptery przelatujące niby przypadkiem nad moim domem, a czasem pół twarzy - skośne oko zza węgła. Przeszukiwali też moje mieszkanie. Gdy pewnego razu wracałem z Przedmieść zauważyłem, że srebrny świecznik został przesunięty prawie o trzy milimetry na północ, a w rogu pokoju brak dwunastej linii pajęczyny. Nie zostawili innych śladów i niczego nie zabrali. Podczas następnych wizyt byli ostrożniejsi. Nie stwierdziłem braków w pajęczynie, ani odchyłeń przedmiotów. Raz znalazłem

jednak krótki szary włos. Cóż - wszyscy popełniamy błędy. Na początku inwigilacja trochę mnie niepokoiła, potem tylko przeszkadzała aż wreszcie przyzwyczailem się.

Zrozumiałem jednak, że zarówno Miasto jak i Przedmieścia, domagają się ode mnie podjęcia wiążącej decyzji. Oczekiwano ode mnie jasnego wyboru. Jeszcze wtedy wydawało mi się, że Miasto, pomimo dyskretnego nadzoru, nadal pozostawiało mi swobodę ruchów. Wiedziałem, że muszę odejść, choć droga przez Przedmieścia jest najeżona trudnościami i nie wiadomo, dokąd prowadzi. Od kilku dni we śnie i na jawie, nie odstępowała mnie wizja trzech ryb w kształcie cyfry „6”, połyskujących w zielonym morzu, i pływających leniwie w różnych kierunkach. Teraz, po wszystkim, zastanawiam się czy ten obraz rzutowany był na moją świadomość przez Miasto czy przez Przedmieścia, czy był symbolem zniewolenia, czy też wolności. Nigdy jednak już się tego nie dowiem. Mali lekarze o płaskich twarzach i nieruchomych, świdrujących oczach, właśnie pochylają się nade mną. Czuję, jak narkotyk wnika do moich żył. Wkrótce rozpocznie się operacja, która usunie z mojego umysłu melancholijny czar Przedmieść, ten intrygujący nastrój dawnej tajemnicy, uznawanej przez Miasto za chorobę psychiczną. Cień nieświadomości ogarnie krainę Przedmieść do czasu, aż znów ktoś ją odnajdzie i przywoła. Zostanie tylko Miasto, żywy, zdyscyplinowany organizm; hałaśliwy rój, w którym każdy osobnik zna dokładnie swój adres i cel. Hipnotyzują mnie te grafitowe oczy

Koniec przekazu.





MAGDALENA TUROŃ

MY - ISTOTY LUDZKIE

Jak metalowe wióry
w klamrze
biegunów magnetycznych
Miotamy się

my – świat
wolność – Granice
jednostka – Prawo
sumienie – Życie
W drodze do ideału
padamy wiecznie nieudolni
Kłamiemy wciąż
że to celowo
A rzeczywiście umieramy
słabi
grzeszni
niedoskonali
Lecz przedtem
żyjemy długo
w niedoskonałym świecie
i dlatego
JESTEŚMY WSPANIALI!

z układu gwiazd
wyczytał ktoś apokalipsę
chcąc uciec od miłości
tej wenecko szekspirowskiej
wybiegł w błękit
nie wróci więcej
zbratał się chodnikiem
pod swoim oknem
a Julia i tak zmarła
z ROZPACZY



ROBERT KONCA

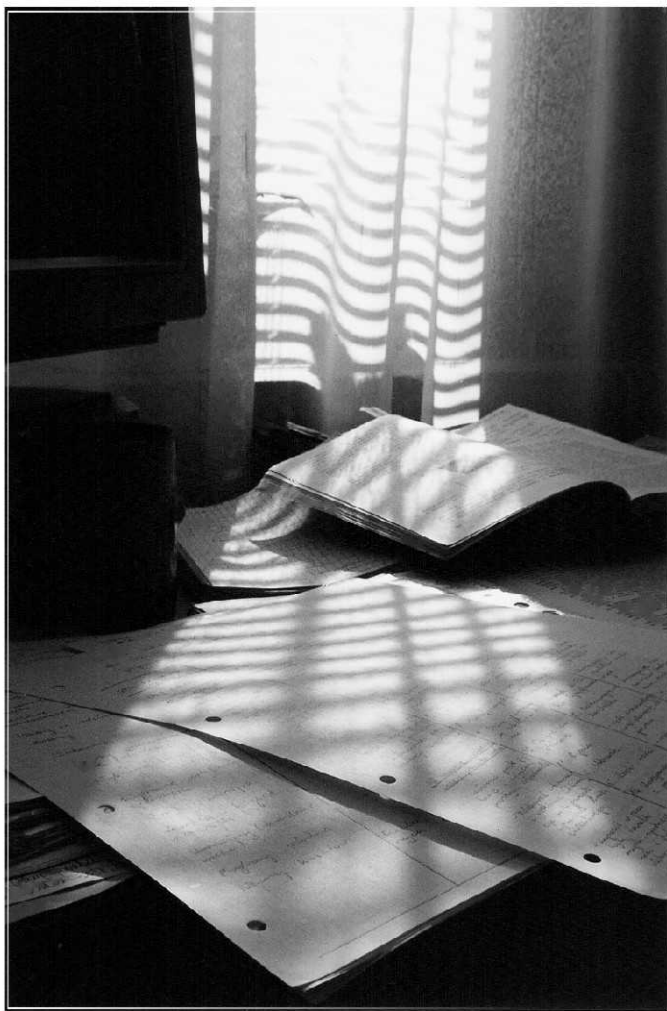
WIDMO BROCKENU

Trudno określić moje dane personalne. Gdyby chciano to zrobić, padłoby wiele nazwisk. Widziano mnie na bezkresnej równinie, chciwie pchającego w zarośnięte sierścią usta surowe, ociekające krwią mięso. Widziano mnie w górskiej grocie, z dzikim spojrzeniem w blasku ognia, kopulującego i jęczącego. Widziano mnie, jak wraz z innymi ciągnę po piasku pustyni wielotonowe głązy. Widziano mnie na ołtarzu – z poderżniętym gardłem; na polu bitwy – z mieczem w jednej ręce i głową wroga w drugiej. Widziano mnie, jak stawiam stopę na Księżycu.

Teraz już spokój. To wszystko nie ma

najmniejszego znaczenia, jakby się nie zdarzyło. To już nieważne. Bo oto teraz pojawiłem się inaczej. Nie jak aktor, który musi udawać, że żyje, umiera, kocha. Nie jak kukła poddająca się każdemu ruchowi operatora, uwikłana w fikcyjne dramaty. Tym razem pojawiłem się inaczej, bez niczyjej zgody, bez niczyjej wiedzy, bez żadnej ingerencji. Choć może to tylko złudzenie. Może pojawiłem się, jak zwykle, z tym naturalnym przeświadczeniem, że pojawiam się inaczej. Moje imię nie ma znaczenia. Sam go nie znam. Teraz liczy się tylko czas, przestrzeń o wiele mniej. Przestrzeń, którą pokonuję, jest w gruncie rzeczy bardzo ograniczona. Nie mam nic przeciwko temu. Kiedyś podróżowałem, przemierzałem wielkie odległości i nie było mi wcale lepiej. Teraz prowadzę życie osiadłe. Tak, to najlepsze określenie: „prowadzę życie”. Nie żyję, tylko prowadzę, jak prowadzi się powłóczącego nogami pijaka do odległego domu. Mój dom to stara wieża z czerwonej cegły pośród zamglonych gór.

To jest coś w rodzaju dziennika, pisanego bardziej w myślach niż na papierze. Zmuszam umysł, aby notował i utrwał najważniejsze spostrzeżenia, bo teraz nie mam już nic oprócz nich. Tak kreślę kontury swojego świata. Nikt tego za mnie nie zrobi. Przeciwnie: zauważam nawet tendencję do zanikania rzeczywistości, do umierania myśli. Nie sądzę, aby ktoś za tym stał. Jest to raczej samobójstwo. Dlatego muszę zbierać wszystkie fakty, najsubtelniejsze impulsy, aby nie pozwolić na zawalenie się tego świata. Jest mi coraz trudniej to robić. Ilość zaistniałych faktów zmniejsza się z każdym dniem, a mi też zaczyna już brakować pomysłów. Coraz wolniej „prowadzę swoje życie”, coraz mniej rzeczy widzą moje oczy, coraz ciszej mówi do mnie świat. Boję się, że znowu ogarnie mnie ten stan dziwnego uśpienia, jak bywało już nie raz... (trwałem, nie wiedząc o tym, gdyż żaden sygnał z zewnątrz nie docierał do moich zmysłów...



trwałem jak kamień, pod którego skorupa mózg zdobywał się na jeszcze jeden wysiłek – mozolnie, cegła po cegle, wiersz po wierszu, budował kolejną wieżę, aby znowu dać mi szansę).

Krajobraz tutaj był kiedyś urozmaicony: wodospady, głębokie wąwozy, bujna roślinność. W jaskiniach przy zbawiennym ogniu powstawały cudowne mitologie. Kojącą obecność Bogini czuło się wszędzie – w wodzie, w powietrzu i w lesie. Już teraz nie pamiętam, kiedy nastąpiła zła przemiana. Zapewne był to proces stopniowy, przez wieki i tysiąclecia dyskretnie niszczył nasze umysły. W końcu pozostało tylko uczucie zdziwienia, strachu i niemożność utożsamienia się z kimkolwiek i czymkolwiek. Wcześniej doskonale porozumiewaliśmy się bez słów, a potem najpiękniejsze, najbardziej pojemne języki świata nie pozwalały nam poznać siebie nawzajem. Wydawało nam się, że budujemy wspaniałą cywilizację, rozwijamy swoją inteligencję, ale to nasze chore umysły tworzyły taką iluzję. Cywilizacja, a zwłaszcza pieniądze sprawiły, że nasza praca stała się niewolnicza. A później była już tylko pogoń za pieniędzmi i tak zwaną „dobrą pracą”, jakby ze strachu przed wolnością. Narastanie agresji, zanikanie miłości.

Nie pamiętam, kiedy zbudowałem pierwszą wieżę, ani ile ich było do tej pory. Żyłem wielokrotnie w ponurych wieżach, jak ta teraz, nie robiąc właściwie nic oprócz utrzymywania się przy życiu i pielęgnowania pewnych idei, które – jak myślę – zatrzymały mój umysł w znacznie mniejszym stopniu niż „racjonalne” wartości cywilizacyjne. Nie wiem, czy ta cywilizacja nadal trwa. Nic mnie to nie obchodzi. Być może pod moimi nogami pędzą teraz jak szalone wagoniki podziemnej kolejki, wioząc tych biedaków do ich biur i przedsiębiorstw. To już nie moja sprawa. Gdy o nich myślę, budzi się we mnie jedynie współczucie, nic więcej. Mogliby mnie zamknąć jako niebezpiecznego szaleńca i poddać torturom, a ja pewnie bym tego nawet nie zauważył.

Takie są zalety wieży. Coraz bardziej natomiast dokucza mi samotność. Być może, jak

wiele innych zjawisk, jest tylko iluzją zaprojektowaną przez mój umysł. Nie jest wykluczone, że ktoś tu ze mną mieszka, przez cały czas jest bardzo blisko, a ja nie potrafię go zobaczyć i pokochać. W każdym razie czuję się samotny, a to zniechęca mnie do walki z zanikającym światem. Nie podnoszę z ziemi cegieł, które coraz częściej odpadają z mojej wieży, nie wkładam ich z powrotem na miejsce...

Więc to musiało się w końcu wydarzyć: pojawiła się, pośród chaosu myśli, które nie dotyczyły niczego konkretnego. Pojawiła się tylko na moment, bez barwy, bez kształtu, bez wymiaru. Pojawiła się tylko oddechem, który niósł ze sobą jakiś ciepły zapach, a może nawet więcej niż zapach... Może prawie smak jej ust i dobrej szminki. Kolejny dzień – jeżeli moje poczucie czasu jest prawidłowe i nie nastąpiły w nim jakiegoś odkształcenia czy przesunięcia. Jeżeli bowiem przestrzeń i materia ulegają zniszczeniu, tworzą się w nich wyrwy i czarne dziury, musi mieć to wpływ również na czas. Także czas może się rozpadać, niektóre godziny nie kończą się, a inne w ogóle nie zaczynają.

Zaraz po przebudzeniu idę narąbać drzewa na opał, bo z każdym dniem robi się coraz zimniej. Słońce zdaje się wysłać swoją energię z coraz większym trudem. Właściwie siekiera nie jest mi potrzebna, gdyż wiele drzew rozpada się, a suche gałęzie leżą na ziemi przez kilka dni, zanim znikną zupełnie. Ciepło, które dają, jest coraz bardziej rozrzedzone i coraz szybciej rozprasza się w zimnym kosmosie. Zebrane gałęzie wiąże sznurem i dźwigam do wieży.

Wnoszę je na górę, do mojego ulubionego pokoju, gdzie najchętniej spędzam wieczory. Jest tam stary, wielki piec kaflowy, w którym rozpalam ogień przed zachodem słońca i przy którym siedzę rozmyślając, czytając lub zapominając powoli o wszystkim. Miałem tu kiedyś obszerną bibliotekę. Dzisiaj została z niej może dziesiąta część, ale i tak jest jeszcze wiele do przeczytania. Rzucam drewno za piec martwiąc się, że moje zasoby węgla są już minimalne. Za kilka dni zostanie tylko drewno, aż wreszcie i ono się skończy. Jak będzie zimno,

będę musiał przenieść się na parter, tam tak nie wieje. Nie lubię parteru, to prawie grób. Ale powoli staje się to dla mnie obojętne. Wrzucam do pieca trochę węgla, drewna i kawałek papieru. Podpalam, udaje mi się dopiero za trzecim razem. Czwarty raz chyba bym już nie podpalał. Jak to szybko postępuje: jeszcze parę dni temu, dzisiaj rano nawet, ogień był dla mnie bardzo ważny. Jego rozpalenie zawsze sprawiało mi radość, a teraz rezygnowałbym po trzech przyłożeniach zapałki. Ale jednak się pali. Siadam na krześle zmęczony, chociaż dzisiejszy dzień nie wymagał ode mnie większego wysiłku. Patrę w okno, zachodzi słońce. Jaki krótki ten dzień... Widzę czubki drzew chwiejące się pod naporem wiatru. Nie chce mi się czytać. Jest ze mną coraz gorzej. Aby poprawić sobie humor, mówię do siebie: Napisz wiersz... Zapalam lampę naftową i – śmiejąc się cicho – piszę:

napisz wiersz
napiasz
o głosie którego nie słyhać
o głosie za którym szedłem
po kamieniach przez popiół
zawsze nocą

wśród gór na skałach
śliskich od ektoplazmy
szukałem śladów
twojej obecności

nie prowadziło mnie światło
więc zamknąłem oczy
aby ujrzeć że jesteś wszędzie
tylko nie w mojej zewnętrznej iluzji

Wystarczy. Próbuje myśleć o rzeczach praktycznych, o węglu, o drewnie, o piecu, o najlepszych sposobach rozpalenia ognia, ale nawet ta prosta, codzienna czynność przypomina mi o tym, że wszystko zanika. Świat popelnia samobójstwo i mnie też ciągnie za sobą. A może jest odwrotnie? Za oknem jest już ciemno. Od czasu do czasu słyszę gdzieś w dole głuche uderzenia: to cegły odpadają od ścian i rozbijają się na kamieniach u stóp mojej wieży. Lampa naftowa świeci coraz słabiej. Nawet wiatr ustał zupełnie. Sądzę, że to stanie się już niedługo, dziś w nocy albo jutro. Samo-

bójstwo. Zostaną tylko szczątki mózgu w kamieniu, samotny kwant energii; wystarczy, aby przez lata zbudować kolejną wieżę. I tak bez przerwy. To stanie się już niedługo, najdalej jutro. Już z tym nie walczę – destrukcja nastąpi bez mojego wyraźnego sprzeciwu.

Dzisiaj obudziłem się z bólem głowy. Żle spałem. Budziłem się co chwila, tak jakby wielość myśli i skojarzeń nie pozwalała nerwom i ciału odpoczywać dłużej niż kilka minut. Większość tych nocnych myśli nie dotyczyła niczego konkretnego. Być może ich zadaniem było wypróbować moje siły przed ostatecznym atakiem. Kiedy zaciskałem mocno powieki, aby zmusić się do spania, w mojej wyobraźni pojawiała się kolorowa mozaika, jakby wykonany z geometrycznych elementów szyfr, którego przesłania nie umiałem jednak zrozumieć. Mimo zmęczenia schodzę na dół do piwnicy po żywność. Powraca mi apetyt. Na moment rodzi się we mnie nadzieja, że może to jeszcze nie koniec, może jeszcze nie tym razem. Nadzieja znika, gdy wchodzę do piwnicy i widzę, ile żywności ubyło w niewiadomy sposób, zaś w jednym z kątów zieje bezdenne szczelina, jakby rozstała się ziemia. W ścianach również zauważam poważne braki. Wracam na górę i jem. Jedząc dostrzegam w dali za oknem jakieś niewyraźne kształty. Już do końca posiłku nie odrywam wzroku od tego zjawiska. Potem idę na taras. Mam tam zainstalowaną dobrą lunetę, chyba jest jeszcze cała. Jestem ciekawy, czy to tylko halucynacja naszkicowana przez moje wyczerpane neurony, czy też prawdziwy obiekt. Myślę, że soczewki lunety nie są zależne od mojego mózgu i rozwieją moje wątpliwości. Luneta zdaje się potwierdzać istnienie obiektu. Po uregulowaniu ostrości widzę wyraźne kształty wieży. Jest to wieża z czerwonej cegły, tak jak moja, i chyba podobnej wielkości. Patrę długo, chwilami kształty rozmywają się (nie wiem, czy to wina mojego wzroku, łez, czy też może wina podlegającej powolnemu rozkładowi lunety, albo zjawisk atmosferycznych), aby ponownie odzyskać niepokojącą wyrazistość. Gdy na chwilę prostuję się znad lunety, odkrywam, że teraz dobrze widać


 Kamil Bukowski

wieżę nawet gołym okiem. Oczywiście nie widać żadnych szczegółów, ale można się zorientować, że to wieża. Ponownie pochylałam się nad lunetą. Uważnie obserwuję każdy widoczny z mojej strony zakątek wieży, powoli przesuwam lunetę, aby nie przeoczyć obecności tej, o której zacząłem już myśleć i marzyć; tej, której pragnę, nie znając jej jeszcze, nie wiedząc nawet, czy istnieje. Po godzinie wnikliwych obserwacji jestem natomiast pewien, że „nowa” wieża jest dokładnie taka sama jak moja. Są być może minimalne różnice w wielkości, których z tej odległości nie mogę dobrze ocenić. Zdumiony dostrzegam, że w pokoju na górze tamtej wieży uchylone jest największe okno, to samo, co i u mnie; wygląda też na to, że uchylone jest w tym samym stopniu. Na tarasie zauważam mały, okrągły przedmiot, od którego odbijają się promienie słońca. Nie zdziwiłbym się, gdyby to była luneta. Daję odpocząć zmęczonym oczom, a potem znowu patrzę. Odnoszę wrażenie, że im dłużej patrzę, tym wyraźniej widać wieżę, pojawiają się nowe szczegóły. Tak, teraz dostrzegam czarny

okap, taki sam jak u mnie, chroniący lunetę przed deszczem lub atakiem tych dziwnych ptaków, które ostatnio pojawiły się w tej okolicy. Jeżeli ktoś obserwuje mnie przez lunetę, to musi, tak jak ja teraz, stać schylony za tym okapem, dlatego nie mogę go zobaczyć. Przerывam obserwację dopiero późnym popołudniem, gdy chłód przypomina mi o potrzebie rozpalenia ognia w piecu. Kiedy już zapłonął wreszcie ogień, jest prawie noc. Zapalam lampę naftową. Znajduję wielką encyklopedię i siedząc na krześle czytam o aberracjach optycznych, a potem o halucynacjach. Od czasu do czasu podnoszę głowę znad lektury i zamyślony spoglądam przez okno na nikły blask pośród nocy: płomień lampy naftowej w pokoju na górze odległej, identycznej wieży. Czym jest to, co widzę? Niestety, wszystko wskazuje na to, że jest to jedynie lustrzane odbicie mojej wieży. Operator dowiedział się w końcu o mnie i umieścił w oddali olbrzymie lustro, aby odbijało moją rozpadającą się rzeczywistość, aby powtarzało to powszechne samobójstwo i podkreślało złośliwie moją

samotność. Moja budząca się miłość jest więc ośmieszona w okrutny sposób. Ale jeszcze się nie poddaję. Nagle przychodzi mi do głowy pewien prosty pomysł.

Natychmiast pochylam się nad moją lampą i gaszę ją. Potem patrzę przez okno. Tam, w głębi nocy, nikły płomień pali się nieustannie. A więc nie ma lustra. Są dwie wieże. Są dwie osoby. Jedna zgasła swoją lampę, druga nie. Druga wieża istnieje i ktoś w niej mieszka. Mam nadzieję, że to nie jestem ja.

Dzisiaj obudziłem się wcześniej, prawie ze słońcem. Schodzę na dół. Okazuje się, że żywność zniknęła. Postanawiam więc nie jeść. To nie będzie trudne, bowiem przez wiele minionych dni jadłem mało, coraz mniej. Zauważyłem też, że głód rozszerza percepcję. Nie ma nic gorszego od tego uczucia nasycenia i błogości po obfitym obiedzie. Umysł wtedy drzemie zadowolony, nie różniąc się niczym od umysłu krowy czy owcy. Mamy poczucie bezpieczeństwa, gdy tymczasem demony kręcą się wokół skroni, a potem wnikają do wewnątrz, aby się pożywić. Kiedy brakuje jedzenia i innych podstawowych środków do życia ciała, wtedy budzi się duch. Kiedy zaczyna brakować światła i miłości, duch zwraca się w stronę ciemności. Przemierza ją w skupieniu, całe lata świetlne złowieszczonego mroku, dalej niż stąd do gwiazd gwiazdozbioru Raka czy Ryb. To podróż niemalże bez końca, w czarnej przestrzeni bez punktu odniesienia, gdzie sterem jest najbardziej tajemnicze tchnienie intuicji. Aż nadchodzi chwila, gdy objawia się pierwsza iskra ze świętego ognia...

Wychodzę na taras. Patrzę na odległą wieżę przez lunetę. Nie widać nikogo. Potem chodzę po tarasie. Muszę uważać na szczeliny i pęknięcia, które stają się coraz głębsze w wyniku postępującej destrukcji. Co chwila słyszę odgłosy spadających cegieł i walących się drzew. Kiedy się skupię, słyszę szelest rozstępującej się ziemi i syk powietrza, które ucieka do innego świata przez mikroskopijne szczeliny graniczne. Zastanawiam się, dlaczego wieża i cała reszta nie runęły jeszcze. Siła czyjej woli utrzymuje to wszystko ciągle na powierzchni? Znowu patrzę przez lunetę. Widzę postać siedzącą na tarasie. Chyba czyta książkę. W każdym razie siedzi i trzyma w

rękach jakiś przedmiot, który zasłania jej twarz. Chciałbym do niej jakoś dotrzeć, porozumieć się z nią. Siadam na krześle analizując bodźce odbierane przez mój zmysł dotyku. Na stopach czuję dotyk podłogi, na twarzy dotyk powietrza, równie twardy i obojętny jak podłoga. Plecy obejmuje mi drewno oparcia krzesła. Czuję je tak, jak czuje się na plecach uderzenia dziobu drapieżnego ptaka. I to wszystko. Mój zmysł dotyku wkrótce zaniknie, jeżeli ona nie przytuli się do mnie, nie dotknie miękko mojej twarzy.

Czyta gdzieś do południa. Potem odkłada książkę i spaceruje po swoim tarasie. Sposób chodzenia oraz delikatny profil utwierdzają mnie w przekonaniu, że jest kobietą. Czasami zatrzymuje się i patrzy gdzieś w dal, raz czy dwa także w moim kierunku. Nic jednak nie wskazuje na to, aby dostrzegała moją wieżę. Tak samo patrzy wiele razy w bok, w pustą, białą odległość. A może po prostu nie przywiązuje większej wagi do mojej wieży, może moje istnienie jest jej zupełnie obojętne. Jak zaaranżować nasze spotkanie w tym ascetycznym i przepaającym świetle? To jest miłość bez obecności osoby kochanej, bez znajomości jej. Ona jest bardzo daleko, w innym świecie, którego odbicie przypadkowo dryfuje równoległe do mojego. Znam jedynie kształt jej postaci, a mimo to mój umysł i moje ciało szukają do niej dróg. Schodzę na dół i usiłuję iść w kierunku jej wieży, z ziemi zresztą niewidocznej, ale po około stu krokach głębokie rozpadliny stają się nie do przebycia. Zawracam w pośpiechu obawiając się, że ciągle zapadająca się ziemia odetnie mi powrót do mojej wieży. Będę musiał znaleźć inny sposób spotkania się z nią. Znowu wychodzę na taras. Patrzę na nią przez lunetę. Stoi oparta o balustradę swego tarasu i spogląda w moim kierunku, obojętnie, a może nawet z pewną melancholią, jakby patrzyła na biały żaglowiec na morskim horyzoncie. To dziwne – widzę dokładnie układ wzorów na jej sukience, a nie mogę dostrzec rysów jej twarzy. Chciałbym być przy niej, tulić się do niej i bronić ją przed nieznanymi wrogami. Napływają chmury i widoczność trochę się

pogarsza. Podnosząc wzrok znad szkieł zdumiony zauważam ją na niebie. Zauważam ją na niebie : pośród mgieł i chmur wolno kołysze się jej olbrzymi cień otoczony delikatną poświatą. Oto blask godny wielkości jej serca ! Zdaje się, że z dali dobiega moich uszu muzyka skrzypiec. Teraz jej cień obraca się. Widzę subtelną zarys piersi, zarys warg, które usiłują coś szeptać, aż wreszcie rękę, gdzieś ponad chmurą cień dłoni, która wydaje się przywoływać albo żegnać...

Już czas opuścić to ciało, zostawić tę wieżę zamieniającą się w ruinę wraz z moim umysłem. Ich możliwości zostały wyczerpane. Jest ciemno. Z trudem zwlekam się z podłogi tarasu. Moja głowa, choć wypełniona bolesnym szumem, wydaje się bardzo lekka. Wewnątrz ruszają taśmy pamięci. Pamiętam szum lasów wokół góry Brocken. To tam pierwszy raz ujrzałem na niebie cień swojej nieodłącznej przyjaciółki. Mimo, że Widmo Brockenu swoją moc i splendor czerpie z osoby obserwatora, a obserwatorem byłem ja, to jednak na niebie widziałem Jej postać. Prawdopodobnie cały czas była tuż obok mnie, a może nawet we mnie. Może była mną, a to, co myślało, że jest mną, było tylko tym kapryśnym widmem pośród chmur i błyskawic. Poznałem Ją wiele wcieleń temu. Przypominam sobie rozmowy, nieśmiałe dotknięcia, sny o jej pocałunkach i spełnienie się snów, długie spacerowanie, jakiś most z metalu, jej i moje łyżki... wyzbywanie się zazdrości. Kimkolwiek była, jest i będzie – moje uczucie jest niezależnie od przemijania czasu i destrukcji przestrzeni. Gdy przypominam sobie tamte odległe dni, kiedy zdawało mi się, że ta miłość jest najważniejszym aspektem mojego istnienia, że dla niej mógłbym zrobić wszystko, uśmiecham się w duchu. Nie mogłem zrobić nic. Bombardowany przez fałszywe wrażenia, pełen gnijących znaczeń, nie miałem pojęcia, czym jest miłość. Były tylko chwile ośnienia, zwykle, gdy Ona była blisko, gdy mówiła do mnie. Chwile, gdy w jakimś cudownym transie nie zauważałem nikogo oprócz Niej, gdy materia i czas były posłuszne Jej woli, a ja

nie byłem potrzebny samemu sobie. Gdy Ją dotykałem, miałem wrażenie, że oboje uczestniczymy w jakimś ezoterycznym rytuale. Jej oczy były jak świetliste tunele prowadzące do innych wszechświatów. W końcu uległem złudzeniu, że Ją straciłem. Teraz wiem, że jest przy mnie blisko i nigdy mnie nie opuściła. Moje imiona są bez znaczenia. Widziano mnie w wielu miejscach, w wielu wieżach budowanych przeze mnie z pojęć i halucynacji, które izolowały mnie od prawdziwego życia: od miłości. Tylko to uczucie zostaje, przenika serca i umysły wszystkich istot, podnosi je z najgłębszych i najpodlejszych upadków, budzi je do życia z tego duszkiego letargu, w którym ja jestem pogrążony już od tak dawna. Czyniłem wiele zła, jeszcze więcej głupstw, a tak niewiele dobrych rzeczy. I tym razem mi się nie udało, ale jestem już blisko. Jak w narkotycznym śnie przechodzę taras chcąc wejść do pokoju, jednak klamka drzwi nie reaguje na mój dotyk. Rozglądam się wokół. Jest noc, ale nie jest zupełnie ciemno. W tym, co widzę, zachodzą ciągle zmiany. Właściwie nie jest ciemno, ale szaro. Materia zdaje się zniknąć na chwilę, by znowu się pojawić, jednak za każdym razem mniej wyraziście. Już od dawna podejrzewałem, że ta rzeczywistość nie istnieje w takiej formie, w jakiej ja ją postrzegam; że może jest tylko umownym układem halucynacji albo odbiciem prawdziwego świata zniekształconym przez moje zmysły. Ta śmierć też jest umowna, nie dzieje się naprawdę. To tylko senna wędrówka od jednej substancji do drugiej. Kładę się na krawędzi tarasu i patrzę w rozpuszczające się niebo. W następnej wieży, mam nadzieję, że będzie bardzo krucha i przezroczysta, opowiem komuś tę historię. Jeszcze ostatnia myśl – wspomnienie wspólnej obecności – rozprasza się w kosmosie umysłu. Zmysły powoli gasną; lęk i ból gubią się w pustce.

Do zobaczenia, Kochanie.

